

Hic mortui vivunt, hic muti loquuntur. / Tu martwi żyją, a niemi przemawiają.



Wszystkim Członkom, Sympatykom i Czytelnikom składamy najserdeczniejsze życzenia pięknych, zdrowych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia i wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Mamy nadzieję, że będzie on lepszy od poprzedniego i przyniesie nam wszystkim trochę normalności i radości. Życzymy Państwu spełnienia marzeń, wielu ciekawych lektur, interesującej oferty wydarzeń kulturalnych i licznych spotkań w gronie przyjaciół.

Zarząd Biblioteki Polskiej w Waszyngtonie

Informacja o stanie Biblioteki	1
Pożegnania	2
Recenzje i omówienia	8
Wydarzenia Biblioteki	14

INFORMACJA O STANIE BIBLIOTEKI

Upływa właśnie drugi rok od zamknięcia Biblioteki w jej fizycznym kształcie. Po jej kolejnym zalaniu w październiku 2018, na wniosek właściciela budynku spakowaliśmy zbiory Biblioteki w przygotowaniu do jej remontu, który miał się rozpocząć jeszcze przed końcem roku. W ramach remontu całego budynku, obiecano nam dodatkowe pomieszczenia i gruntowną przebudowę. Pełni optymizmu przygotowaliśmy plany architektoniczne nowych wnętrz, które miały nawet pomieścić niewielką salkę kinową.

Niestety, Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii, właściciel budynku, w którego suterenie mieści się Biblioteka, zmieniło plany odnośnie wykorzystania budynku. Ze względu na jego bardzo zły stan techniczny pracujący w nim przedstawiciele Zagranicznego Biura Handlowego przenieśli się do innych pomieszczeń a budynek pozostał opuszczony.

Sytuację pogorszyła epidemia, wstrzymując wszelkie prace nad ewentualną zmianą przeznaczenia i remontu budynku. Według informacji przekazanych nam przez Pana Ambasadora Piotra Wilczka, decyzje o dalszych losach budynku mają zostać podjęte przed końcem tego roku. Liczymy na to, że będą to decyzje dobre dla Biblioteki, i że znajdzie się godne miejsce dla jej zbiorów.

Naszym marzeniem było i jest stworzenie w Waszyngtonie ośrodka kultury polskiej na miarę tych, jakie mają w stolicy USA inne kraje europejskie. Jesteśmy przekonani, że aspiracji tych nie mogą nie podzielać polskie władze, i że już wkrótce Biblioteka znowu będzie mogła gościć czytelników.

POŻEGNANIA

Z głębokim żalem pożegnaliśmy w ostatnich miesiącach dwie bardzo ważne dla Biblioteki osoby. W sierpniu zmarła Maja Peretz, tłumaczka na angielski polskiej poezji i ambasadorka polskiej kultury. Z Biblioteką była zaprzyjaźniona od jej początków, pisała dla naszego biuletynu, uczestniczyła w bibliotecznym pikniku i kolędach, obdarzała nas swą przyjaźnią i życzliwością. Ocalona z holokaustu przez polsko-ukraińską rodzinę, była świadkiem ludzkiej dobroci, o której nigdy nie zapomniała.

W listopadzie odeszła z naszego grona Ewa Jackowska. Ewa była współzałożycielką Biblioteki, to ona stworzyła jej pierwszy katalog i

dokumentację zbiorów. W Bibliotece Ewa spotkała swojego przyszłego męża, co często nam przypominała. Będzie nam jej bardzo brakować.

Lista wybitnych osób polskiej kultury, które odeszły w 2020 jest niestety bardzo długa. Pożegnaliśmy publicystów i pisarzy (Jerzy Pilch, Józefa Hennelowa, Maria Janion, Ludwik Stomma), aktorów i reżyserów (Wojciech Pszoniak, Jerzy Gruza, Andrzej Strzelecki, Emil Karewicz), odeszli Krzysztof Penderecki, Ewa Demarczyk, Romuła Lipko, Wojciech Zabłocki i Piotr Szczepanik. Tego ostatniego mieliśmy okazję gościć w przeszłości.

Pozostała z nami ich twórczość.

SPOTKANIA

Publikujemy ponownie rozmowę z niedawno zmarłą Mają Peretz, tłumaczką polskiej literatury i poezji. Rozmowa ta miała miejsce w 2010 roku.

Anna Firsowicz (AF): Pierwszy raz spotkałyśmy się w Bibliotece. Siedziałaś przy naszym okrągłym stole. Obok leżał pies wielkości średniego cielaka. Wpadaliście do nas we wtorki. Uwielbiałam, dla żartu, straszyć Rudusiem (anioł nie pies) czytelników, którzy opóźniali się ze zwrotem książek. Strasznie mi tych odwiedzin brakuje. Teraz mieszkasz pod Waszyngtonem i opiekujesz się sporą menażerią: i łaciate, i kudłate, pręgowane i skrzydlate, te, co skaczą i fruują. Opowiedz nam o nich.



Maja Peretz (MP):

Ta zima okropnie daje im się we znaki. Mamy sześć karmników dla ptaków, ale dowcip polega na tym, żeby kotów na ganek nie wypuszczać.

AF: O kotach powstało wiele dzieł.

Wzruszający wiersz Wisławy Szymborskiej „Kot w pustym mieszkaniu” pięknie przetłumaczyli na angielski Stanisław Barańczak i Clare Cavanagh. Ty również jesteś tłumaczką. Jak to się stało, że zaczęłaś tłumaczyć?

MP: Po Trzydziestce straciłam słuch, pracę i ochotę do życia. Aż tu kiedyś koleżanka z Nowego Jorku przysłała mi najnowszy tomik wierszy szczecinianki Anny Frajlich, zatytułowany po angielsku „Indian Summer”. Pomyślałam – Złota polska jesień - i zaczęłam czytać.

Emigracja

*My – skąd nagle? – wyspiarze
w samym sercu wiatrów
w dziwnej szkole pokory
gdzie uczą żywioły
ciągle jeszcze pamiętam
ciszę stałych łądów
szron na drucianym płocie
i drogę do szkoły.*

Elegia o kaflowym piecu

*Opoki mego dzieciństwa
ludzie z jednego tramwaju
na pięciu kontynentach
lat swoich dożywają.*

*Opoki mego dzieciństwa
jak stare kafłowe piece
rozebrane
cegła po cegle
żeby miejsca zostało więcej
a to miejsce na co i komu
wszystko na nim wygląda obce.
A tak chciałoby się do domu...
...oprzeć dłonie o kafle gorące.*

Moje pokolenie, pomyślałam; te same problemy. Zaczęłam tłumaczyć. Gdzieś się podziła depresja. To były pierwsze moje publikacje w tym kraju.

AF: Moim zdaniem tłumaczenie to prawdziwa sztuka. Podobno dzięki świetnym przekładom Szymborska stała się znana na świecie i może dlatego dostała nagrodę Nobla. Tłumacze Kapuścińskiego wydali wspólną książkę – „Podróże z Ryszardem Kapuścińskim”. Bez Was większość z nas nie znałaby Szekspira, Moliera, czy Andersena. Czy to jest sztuka doceniana?

MP: Ostatnio coraz częściej widzi się nazwisko tłumacza na tytułowej stronie, choć nie zawsze można je znaleźć w Internecie.

AF: Chyba trudno jest tłumaczyć na język, w którym się nie wyrosło. Gdy czytam Twoje tłumaczenie, nigdy bym się nie domyśliła, że angielski jest dla Ciebie językiem wyuczonym. Podobno poprawiasz teksty swojemu mężowi – Amerykaninowi. Kiedy obcy język zaczyna się czuć? Jakie widzisz różnice między polskim, a angielskim?

MP: Nie wiem, kiedy zaczyna się czuć. Dla mnie angielski na zawsze pozostanie językiem obcym. Idealnie, tłumaczyć poezję powinni tylko poeci i to na własny język. Sama przekładam z języka, który powoli zapominam na język, którego nigdy porządnie się nie nauczyłam. Jeśli się to już robi, ważne jest jednak widzieć kontekst, w jakim dany zwrot się pojawia. Dla przykładu, kiedy Poświatowska pisze: „Jestem Julią”, nie można powiedzieć „I am Julia”, bo to Juliet kocha Romea po angielsku, nie Julia. Inny przykład: polskie ptasie pióro używane do pisania to nie „feather” a „quill.” Oba te przekłady widziałam w druku.

AF: Jestem inżynierem, więc muszę zapytać o logistykę. Jak się tłumaczy wiersz?

MP: Myślę, że Barańczak ma rację mówiąc, że wiersz rymowany powinien mieć rym i w przekładzie. Wierzę, że trzeba się starać uchwycić melodię (beat) i obraz (image) tekstu. Oczywiście najważniejsza jest myśl, ale choć Judith Hemschemayer dostała wielką nagrodę za bardzo dokładny przekład całej poezji Anny Achmatowej na angielski, ci, którzy ją nagrodzili pewnie nie czytali Achmatowej po rosyjsku.

AF: W Bibliotece mamy pięknie wydany przez Wydawnictwo Literackie tomik poezji Haliny Poświatowskiej. Po lewej jest wiersz oryginalny, a po prawej Twoje tłumaczenie. Dlaczego Poświatowska?

MP: Nie potrafię jej zanalizować, i po prawdzie, nie zawsze ją rozumiem. Często tłumaczenie rozjaśnia mi tekst. Chociaż na przykład, filozoficzny wiersz „Przeźrenie i czas”, do dziś nie jest dla mnie całkowicie zrozumiały. Może zdarza się czasem, że odczucie wystarcza? Bo ten trudny, choć bardzo krótki wiersz, rozesłałam na próbę do wielu pism i, o dziwo, wszystkie ten przekład entuzjastycznie przyjęły.

Stosunek Poświatowskiej do żywego świata jest mi bliski; mam wrażenie, że ona czuje się częścią przyrody, że przeżycie religijne odnajduje w życiu ziemskim. Jej tematyka to miłość i śmierć. Obcuje na co dzień ze śmiercią, jest dzielna i otwarta, bynajmniej nie ponura. Ma szaloną pasję do życia; potrafi zakpić ze śmierci, i z religii. Krytycy pierwszego jej zbioru byli nim zaszokowani; to chyba Grochowiak nazwał jej poezję „autentycznym erotykiem.” Skupiona na własnym ciebie, Poświatowska nie zna poczucia grzechu; pisze o miłości jak żaden inny polski poeta.

AF: Właśnie przeczytałam wspomnienia w formie listów Haliny Poświatowskiej „Opowieść dla przyjaciela”. Co za historia - wciąga jak najlepsza powieść! Czytałam ją w wersji angielskiej „Story for a Friend” (oczywiście Twoje tłumaczenie). Cały czas nurtuje mnie pytanie, kim był tajemniczy adresat? Czy ona go wymyśliła? Ale gdyby

wymyśliła, to chyba nie byłby niewidomy.

MP: Ireneusz Morawski. Już nie pamiętam, gdzie o nim czytałam. W Google'u znalazłam tylko autora kilku książek na temat transportu o tym samym nazwisku.

AF: Czy łatwiej jest tłumaczyć prozę czy poezję? A sztuki teatralne?

MP: Nie wiem, to zależy od tekstu. Jak proza, to trzeba się znać na tym, o czym to jest. Poezję trzeba zrozumieć, ale i odczuć. Ja tłumaczę to, co mi się podoba. Nigdy nie ruszyłam żadnej sztuki teatralnej; język dialogu musi być kolokwialny. Nad cudownym wierszem miłosnym Wisławy Szymborskiej „Nicość” siedzę już z dziesięć lat. Choć muszę Ci wyznać ze wstydem, że opublikowali mi kiedyś wczesną wersję tego przekładu, która nie tylko była okropna, ale w dodatku została „poprawiona” przez redaktora, który nic z wiersza nie rozumiał. I, co gorsza, przekład ten polecał do Autorki...

AF: Jakich innych poetów/pisarzy udało Ci się tłumaczyć. Nad czym teraz pracujesz?

MP: W ogóle nie pracuję; bawię się. Spędzam dni z ciekawymi ludźmi, ze zwierzętami; lubię chodzić w słońcu i pływać. Próbuję też nadrobić stracony czas i brak wykształcenia. Jako była studentka literatury, jestem bardzo nieoczytana: na uczelni czyta się, co się musi, a potem przez lata nie można już sobie na to pozwolić. Dla przyjemności robi się to chyba tylko w podróży albo w szpitalu; ja wtedy czytałam ulubione kryminały w obcych językach, żeby tak zupełnie nie stracić czasu.

AF: Co czytasz teraz? A którą książkę byś zabrała na bezludną wyspę?

MP: Na wyspę bezludną pojechałabym przede wszystkim z „Lekturami nadobowiązkowymi” pani Szymborskiej i może jeszcze z „Dziennikiem” Gombrowicza. Jeszcze pewnie dodałabym Wata i Watową: „Mój wiek” i wiersze Aleksandra oraz „Wszystko, co najważniejsze” Oli Watowej. Bardzo też lubię czytać biografie historyczne i korespondencję ludzi, których prace czytałam.

Aktualnie czytam (między innymi) powieść o Emily Dickinson „Rubicon” autorki Candace Ridington. Coś mało ostatnio czytuję kryminały, ale z lekkiej lektury pochłonęłam chyba wszystko, co napisał Alexander McCall Smith, który jeszcze mi się nie znudził.

AF: W jaki sposób trafiłaś do Waszyngtonu? Może parę słów o Donie, który jest zawsze duszą towarzystwa w czasie naszych spotkań.

MP: Don pochodzi z ciekawej rodziny. Jego przodkowie uciekli z Hiszpanii przed Inkwizycją w tym samym roku, gdy Kolumb odkrył Amerykę i przez blisko sześć wieków mieszkali w Palestynie. Dzieje tego kraju są równie barwne, jak Polski: wedle tureckiego paszportu mojego śp. teścia, ojciec Dona urodził się w Jerozolimie, w prowincji syryjskiej Imperium Otomańskiego. Don przyszedł na świat w Stanach, ale życie zawodowe poświęcił historii Bliskiego Wschodu. Na ten temat napisał tuzin książek. W czasie wojny w 1948 roku, jako przedstawiciel kwaków (American Friends Service Committee) rozwoził żywność dla uciekinierów i wygnańców z arabskich wsi w Palestynie.

Poznaliśmy się na Nowojorskim Uniwersytecie Stanowym, gdzie Don wykładał, a ja byłam studentką. Po ukończeniu studiów wróciłam do rodziców do Jerozolimy i tam mieliśmy zamiar się pobrać. Izrael jednak jest krajem dyktatu ortodoksji religijnej i nie takie to proste, gdy dwoje Żydów chce tam zawrzeć małżeństwo. (Dla przykładu: mężczyzna, którego starożytni przodkowie pochodzili z kasty kapłanów, nie może się ożenić z rozwódką czy wdową, a wyłącznie z czystą dziewicą). Myśmy się pobrali na Cyprze i przetrwali w wesołym stanie małżeńskim ponad trzydzieści lat.

AF: Studiowałaś anglistykę, filozofię, nauki polityczne i literaturę porównawczą w trzech różnych krajach. Zazdroszczę! Czy w tym czasie spotkałaś kogoś wybitnego?

MP: Miałam wielkie szczęście mieszkać w Warszawie i słuchać profesora Kołakowskiego. To był dopiero nauczyciel! Taki sobie kiedyś skleciłam o Profesorze limeryk:

*There was once a scholar in Warsaw,
With the courage of old braves, only more so.
He taught us the truth
Both wise and uncouth,
Others prayed at the Great Leader's torso.*

Ale uczyliśmy się nie tylko na lekcjach. We wczesnej młodości spędzałam dużo czasu w teatrze; wśród znakomitych ówczesnych aktorów najwięcej nauczył mnie Gustaw Holoubek.

AF: Studiowałaś na Uniwersytecie Warszawskim w czasach, gdy Polska odżyła po wojnie. Jak wyglądało wtedy życie w Warszawie? Wiem, że było biednie, że były prześladowania, ale byli też Starsi Panowie, kawiarnie ze stolikami literatów, SPATiF.

MP: Ach, Boże... Fantastyczna była krakowska Piwnica pod Baranami. W Warszawie była kawiarenka PIW-u na Foksal; miał tam swój stolik Antoni Słonimski, do którego zawsze przysiadali się ciekawi ludzie. Były świetne galerie sztuki. Na warszawskiej Starówce był Klub Krzywego Koła i cudowna piwnica jazzowa Kurylewicza i Wandy Warskiej, gdzie spędziłam setki wieczorów. Bardzo interesujący był Klub Inteligencji Katolickiej. Zanim jeszcze wylądowałam na Uniwersytecie, byłam tam świadkiem debaty Leszka Kołakowskiego z duchownymi intelektualistami; znał Ojców Kościoła lepiej niż biskupi.

AF: Poleciałś mi kiedyś cykl wywiadów profesora Leszka Kołakowskiego ze swoimi przyjaciółmi (w większości najwspanialszymi przedstawicielami filozofii, kultury i w ogóle myśli w Polsce). Czy któryś wywiad z „Rozmów z Mistrzem” cenisz szczególnie?

MP: Chyba z Bronisławem Geremkiem i Barbarą Skargą. Może szczególnie dlatego, że oboje wkrótce potem już nie żyli.

AF: Na koniec nie zadam pytania, za które mnie ofuknęłaś: czy kot ma duszę. A szkoda, bo warto by było usłyszeć Twoje zdanie. Ale i tak swoje wiemy. Zobaczmy, co Halina Poświatowska myśli o tym, a co Ty przekładasz na angielski.

Rekolekcje dla kota
*spiczastoucha
w pręgi
ponad którymi oczu
konstelacja zielona świeci
wybacza ci się okrucieństwo
i świergot
w twoim gardle milknący
wybacza ci się egoizm
przerastający najwyższe drzewa
i daje we władanie wieczne
bo także dla twej opornej duszy
która kiedyś bez sierści
przeciagnie się w szybkim wietrze
płat i kolana
podótek miękki
żebyś mogła trącać paznokciem
trzepot i ciepło
dwie struny
na których wygrywasz
swój kosmiczny niedosyt
amen*

Sermonizing a Cat
*spike-eared
with stripes
above which eyes'
green galaxy glitters
you are forgiven cruelty
and twitter
dying in your throat
you are forgiven selfishness
topping the tallest trees
and given into everlasting reign
- for also to your perverse soul
which one day without pelt
will stretch out in swift wind -
a fence and knees
a soft lap
so you could pluck with your nail
flutter and warmth
the two strings
on which you play out
your cosmic craving
amen*

EWA DEMARCZYK (1941 - 2020)

Polska kultura poniosła ostatnio wielką stratę. Zmarła Ewa Demarczyk, piosenkarka, wybitna wykonawczyni i interpretatorka poezji śpiewanej.



Artystka całe swoje życie związana była z Krakowem, gdzie urodziła się w 1941 roku. Po ukończeniu średniej szkoły muzycznej w klasie fortepianu podjęła dalsze studia na Akademii Muzycznej, a następnie na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Przerwała jednak naukę na obu kierunkach, by rozpocząć studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, którą ukończyła w 1966 roku. Nigdy nie zagrała ani w filmie, ani w teatrze, choć poważne role oferowali jej Konrad Maria Swinarski i Andrzej Wajda.

Ewa Demarczyk rozpoczęła swą karierę w 1961 roku, w kabarecie studentów Akademii Medycznej „Cyrulik”, skąd po roku przeniosła się do „Piwnicy pod Baranami”. Tam też spotkała kompozytora Zygmunta Koniecznego, co miało ogromny wpływ na jej dalszą karierę. Wspólnie przyczynili się do powstania i rozwoju nowego gatunku w polskiej muzyce – poezji śpiewanej. To dzięki nim wiersze Mirona Białoszewskiego, Bolesława Leśmiana, Juliana Tuwima, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i wielu innych, mniej lub bardziej znanych poetów, doczekały się upowszechnienia i nowych interpretacji. Wprawdzie Konieczny skomponował muzykę do wierszy Wiesława Dymnego „Czarne anioły”, Andrzeja Szmidta „Taki pejzaż” czy Juliana Tuwima „Grande valse brillante” z myślą o innych wykonawcach, jednak właśnie w Demarczyk znalazł ich idealną interpretatorkę.

W 1962 roku artystka wygrała krakowski Studencki Festiwal Piosenki. Rok później w pierwszej edycji Krajowego Festiwalu Piosenki w Opolu zaśpiewała

„Karuzelę z madonnami”, „Czarne anioły” i „Taki pejzaż”, wzbudzając powszechne uznanie, poparte licznymi nagrodami, a w 1964 roku na festiwalu sopockim zdobyła nagrodę za „Grande valse brillante”.

Drogę do międzynarodowej kariery miał jej otworzyć dwuletni kontrakt na występy w paryskiej Olimpii, której dyrektor, Bruno Coquatrix, był wielkim wielbicielem talentu piosenkarki. Z różnych powodów Demarczyk zgodziła się jedynie na sześciotygodniowy pobyt w Paryżu. W Olimpii wystąpiła ponownie w rok po pierwszym zaproszeniu. Koncerty okazały się wielkim sukcesem i dały początek jej karierze światowej. Koncertowała w Austrii, Australii, Belgii, Brazylii, Francji, Japonii, Niemczech, Szwecji, USA, Wielkiej Brytanii, a także na Kubie. Publiczność podziwiała ją na takich scenach, jak nowojorska Carnegie Hall, Chicago Theatre, tokijski Theatre Cocoon czy londyński Queen Elizabeth Hall.

Mimo niezwykle owocnej współpracy, w 1966 roku drogi Demarczyk i Koniecznego rozeszły się. Piosenkarka znalazła nowego kompozytora w osobie Andrzeja Zaryckiego, z którym współpracowała do 1984 roku. Po dziesięciu latach rozstała się także z „Piwnicą pod Baranami”, z którą długo była utożsamiana. Do rozstania doszło, mimo że Piotr Skrzynecki, założyciel i kierownik artystyczny „Piwnicy”, był wielkim zwolennikiem artystki i prowadził przez wiele lat jej koncerty.

Warto wspomnieć, że popularność poezji śpiewanej w wykonaniu Demarczyk zachęciła innych artystów do sięgania po teksty poetyckie. Przykładem może być Czesław Niemen, który, jak sam przyznawał, zainspirowany twórczością duetu Demarczyk–Konieczny, wykorzystał wiersz Juliana Tuwima „Wspomnienie” (muz. Marek Sart), a następnie zaadoptował do własnej muzyki wiersz Norwida „Bema pamięci żałobny rapsod”.

Demarczyk początkowo odmawiała śpiewania w innym języku niż polski, tłumacząc to ładunkiem emocji, nastrojów i uczuć, które wkładała w każde wykonanie, a których nie zdołałaby przekazać w obcym języku. Z czasem jednak zaczęła

wykonywać poezję francuską, niemiecką i rosyjską. W 1975 roku nagrała w Rosji płytę, która rozeszła się błyskawicznie, pomimo dwumilionowego nakładu. Łączną sprzedaż albumu szacuje się na ponad 17 milionów egzemplarzy. Demarczyk śpiewała między innymi poezję Osipa Mandelsztama i Mariny Cwietajewej, którzy w tym czasie byli na indeksie. Lokalna publiczność doceniała to i często śledziła teksty utworów przyświecając sobie latarkami.

W latach 1986–2000 artystka prowadziła Państwowy Teatr Muzyki i Poezji, w którym pełniła rolę dyrektora i z którym podróżowała po Polsce i świecie, prezentując własne recitale. Po roku 2000 wycofała się z życia publicznego. W ostatnich latach mieszkała w Krakowie bądź w Wieliczce, ale tak dalece chroniła swoją prywatność, że nawet znajomi nie znali jej aktualnego miejsca pobytu.

Ludzie, którzy się z artystką zetknęli, opisują ją jako perfekcjonistkę, dającą z siebie wszystko w trakcie każdego występu i żądającą od współpracowników podobnego zaangażowania. Próby nad jednym utworem trwały często pół roku. Poza estradą była praktycznie niedostępna. Niechętnie udzielała wywiadów i nawet prośba o współpracę, z którą wystąpiły autorki poświęconej jej opowieści, pozostały bez odpowiedzi. Książka „Czarny Anioł” autorstwa Angeliki Kuźniak i Eweliny Karpacz-Oboładze jest obrazem artystki widzianej oczami osób, które spotkała na swej drodze.

Ewa Demarczyk jest uznawana za jedną z najbardziej utalentowanych i charyzmatycznych postaci w historii polskiej sceny muzycznej. Ceniono ją za ekspresję, z jaką śpiewała poezję, za niezwykłą osobowość estradową i zdolność do twórczych interpretacji. Zdobyła liczne nagrody i odznaczenia, między innymi I nagrodę na festiwalu *Mundial du Theatre* w Nancy (1969), *Złoty Krzyż Zasługi* (1971), *Krzyż Oficerski Legii Francuskiej* (1977), *Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski* (1979), medal *Zasłużony dla Kultury Narodowej* (1987), *Nagrodę Specjalną Telewizji Polskiej* (1993), *Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski* (2000), *Złoty Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis* (2005), a w 2010 roku otrzymała *Złotego Fryderyka*.

Trudno porównywać Demarczyk z innymi międzynarodowymi sławami, choć dopatrywano się podobieństwa między innymi do Edith Piaf. W wielu krajach pojawiały się pieśniarki, które osiągnęły status „narodowego skarbu”, jak na przykład Amalia Rodrigues w Portugalii, Carmen Linares w Hiszpanii, Maria Bethania w Brazylii, Mercedes Sosa w Argentynie czy Ella Fitzgerald w Stanach. Prezentowały one jednak utwory należące do szerszego nurtu charakterystycznego dla ich ojczyzny: fado, flamenco, samby, *nueva cancion* czy jazzu. Można by oczywiście zaliczyć Demarczyk do szeroko pojętego gatunku piosenki literackiej czy poezji śpiewanej, ale jej niepowtarzalny styl utrudnia jakąkolwiek klasyfikację. To również świadczy o unikalnym charakterze jej sztuki.

Artystka zasłynęła z interpretacji wierszy wybitnych poetów do muzyki polskich kompozytorów i z występów, które stawały się prawdziwymi spektaklami. Repertuar pieśniarski oraz styl o cechach niewątpliwie elitarnych nie umniejszały jej popularności w kraju, o czym świadczyć może to, że w czasie niektórych występów porządku musiała pilnować milicja, a liczba chętnych znacznie przekraczała ilość sprzedanych biletów.

Z łatwością podbijała także sceny zagraniczne. Jest to zdumiewające zważywszy, że zagraniczna publiczność nie rozumiała tekstów utworów wykonywanych przez Demarczyk i nie mogła tu pomóc jej niezwykle staranna dykcja, która sama w sobie wzbudzała podziw polskich słuchaczy.

Można żałować, że artystka nie zdecydowała się na rozszerzenie repertuaru ograniczonego do 59 utworów. Również dyskografia jest skromna – dwie płyty nagrane w Polsce i jedna w Rosji. Długotrwałe pertraktacje pomiędzy Ministerstwem Kultury i artystką, mające doprowadzić do wydania płyt będących głównie rejestracją występów scenicznych, nie przyniosły rezultatów. Nagrane płyty nie oddają, bo i oddać nie mogą, niepowtarzalnej atmosfery ani niezwykłości wydarzenia, jakim był każdy występ pieśniarki, który trudno nawet nazwać recitalem piosenkarskim. Mimo, że artystka nigdy nie wystąpiła w żadnej sztuce teatralnej, jej występy

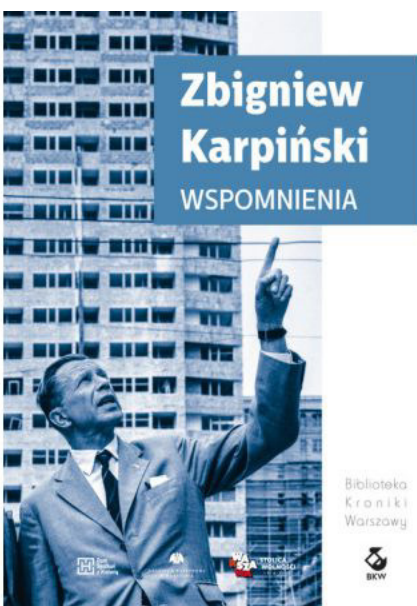
sceniczne można uznać za swoistą formę teatru jednego aktora. Staranny dobór i kolejność utworów, pozostająca w mroku scena z czarną podłogą, skoncentrowany na ubranej w czarną prostą sukienkę solistce snop światła, jak i jej oszczędna gestykulacja, przy jednoczesnym niezwykle dramatycznym operowaniu głosem, nadawały występom charakter misterium.

Mimo wieloletniej nieobecności na scenie i skromnej ilości nagrań, Ewa Demarczyk wniosła ogromny wkład w polską kulturę i pozostaje legendą wokalistyki, a także niedoścignionym wzorem bezkompromisowej sztuki.

Krzysztof Szaśniadek

OMÓWIENIA

Zbigniew Karpiński, *Wspomnienia, Archiwum Państwowe w Warszawie*, Warszawa 2018



Nakładem Archiwum Państwowego ukazały się wspomnienia Zbigniewa Karpińskiego (1906-1983), należące do cyklu Biblioteki Kroniki Warszawy. Autor był wybitnym architektem i nauczycielem akademickim, profesorem Politechniki Warszawskiej. Pisane w latach 1975-1979 wspomnienia obejmują znaczną część jego życia, a był to okres bardzo ważny w historii Polski. Jak sam pisze we wstępie: Przyszło mi żyć w ciekawych i burzliwych czasach. Dzieciństwo jeszcze w czasie ukształtowanym przez XIX wiek. Potem I wojna, rewolucja, wreszcie niepodległość okresu międzywojennego. Wrzesień, okupacja, zburzenie Warszawy, jej odbudowa po II wojnie światowej. Wiele podróży i przeżyć, dla architekta szczególnie cennych.

Karpiński urodził się w Petersburgu, gdzie w tym czasie studiował jego ojciec Franciszek. Rodzina wkrótce przeniosła się do Łasku koło Łodzi (ojciec autora otrzymał tam pierwszą posadę). W roku 1911 zamieszkali w samej Łodzi, gdzie ojciec uzyskał stanowisko architekta miejskiego. Spokojne życie rodzinne zakłóca wybuch pierwszej wojny światowej, ale nawet ten okres udaje się Karpińskim spędzić w miarę bezpiecznie, najpierw w majątku babki autora w Gączynie koło Petersburga, a następnie w Orszy i Dubrownej, gdzie jego ojciec nadzoruje budowę mostów. Te tereny w dużej części zasiedlone były przez polskie ziemiaństwo. Rewolucja 1917 roku zmusza rodzinę Karpińskich do opuszczenia miejsca zamieszkania i podjęcia kolejnej wędrówki, tym razem przez Mińsk do Łodzi.

Zbigniew uczęszcza do szkoły w Łodzi i już wtedy objawiają się jego talenty plastyczne, ale także sportowe. Po zdaniu matury w 1925 roku rozpoczyna studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, gdzie styka się z wybitnymi wykładowcami, a zarazem praktykującymi architektami. Ze studiami wiąże się interesujące podróże, zarówno po Polsce jak i zagranicą, w tym wielu krajach europejskich, a nawet afrykańskich. Karpiński odbył je w towarzystwie profesorów i kolegów studentów.

Już w czasie studiów podejmuje działalność zawodową i uczestniczy z powodzeniem w konkursach architektonicznych. Jednym z nich był konkurs na siedzibę Sądu Okręgowego w Gdyni, przeprowadzony w 1934 roku. W rezultacie Karpiński wraz z Romanem Sołtyńskim i Piotrem Lubińskim uzyskują możliwość realizacji poważnego obiektu w szybko rozwijającym się

mieście o charakterystycznej architekturze modernistycznej.

W 1938 roku poślubia Stanisławę Zatwarnicką, z którą będzie miał trzech synów: Jakuba (1940-2003), Wojciecha (1943-2020) i Marka (1948-).

Pomyślnie rozwijającą się karierę zawodową przerywa wybuch II wojny światowej. Karpiński wraz z grupą znajomych wyrusza na wschód by dołączyć do tworzonej tam linii obrony, jednak po zajęciu Lwowa przez Sowieców wraca do Warszawy.

W swych wspomnieniach autor praktycznie pomija cały okres okupacji niemieckiej. Był wtedy zatrudniony w pracowni architektonicznej Społem i uczestniczył w tajnym nauczaniu. Wspomina wydarzenia z życia rodzinnego, przede wszystkim narodziny synów. Opisuje jeden epizod z czasu powstania warszawskiego, a dzień, w którym się wydarzył, określa jako najdłuższy w jego życiu.

Szóstego dnia powstania Niemcy zabrali z domu rodzinę autora i pod bronią doprowadzili na dziedziniec siedziby Gestapo na Szucha. Tam oddzielono mężczyzn i dołączono ich do innych z przeznaczeniem na rozstrzelanie. Zbiegiem okoliczności opuszczający budynek oficer Wehrmachtu rozpoznał teścia Karpińskiego, Wojciecha Zatwarnickiego, którego zapamiętał jako doskonałego ogrodnika z Czerniakowa i wstawił się za nimi u esesmanów. Przez następne dwa tygodnie Niemcy trzymali rodzinę Karpińskich w areszcie, by w końcu wywieźć ich poza Warszawę i porzucić na skrzyżowaniu dróg w pobliżu Warki.

Znaczna część wspomnień poświęcona jest dwóm pasjom autora – architekturze i Warszawie.

Jeszcze w czasie wojny Karpiński uczestniczy w ratowaniu dóbr kultury ze zburzonej Warszawy, a zaraz po jej zakończeniu włącza się w akcję odbudowy stolicy. W pierwszym dziesięcioleciu powojennym projektuje szereg budynków użyteczności publicznej, a także mieszkalnych. Mimo, że powstały one w okresie tzw. socrealizmu, cechuje je nie tylko monumentalizm, ale także elegancja i prostota. Wykonane w miarę solidnie przy użyciu dość trwałych materiałów wykończeniowych, w większości oparły się próbie

czasu, zarówno w sensie estetycznym, jak i materialnym.

Karpiński bierze udział w wielu konkursach architektonicznych, między innymi, w roku 1955, na siedzibę Ambasady Polskiej w Pekinie; jego praca, wykonana wspólnie z Jerzym Kowarskim, zostaje wybrana do realizacji. Umożliwia to autorowi projektowanie w odmiennych kulturowo warunkach i odbycie dwóch podróży do Chin. Wraca z nich z przeświadczeniem, że Chiny po pół wieku staną się mocarstwem.



Karpiński poświęca sporo miejsca warszawskiej Ścianie Wschodniej, której układ urbanistyczny i budynki są uważane przez krytyków architektury za jedno z najwybitniejszych osiągnięć polskiego modernizmu. Powstała ona w latach 1958-1969 w wyniku wygranego konkursu, który dla autora był największym (...) osobistym sukcesem. Ten wielkomiejski kompleks jest unikalny w skali światowej. Na znacznym obszarze udało się zrealizować jednolicie zakomponowany zespół, na który składają się budynki o różnym przeznaczeniu, wysokości i wystroju architektonicznym. Jego cennym elementem jest znajdujący się na zapleczu domów towarowych Pasaż Śródmiejski. Poszczególne budynki zaprojektowane zostały przez różnych architektów, ale Karpiński sprawował nadzór nad całością jako generalny projektant.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się niemal nieprawdopodobne, że o utrzymaniu wysokości 24 kondygnacji trzech budynków mieszkalnych zdecydowały po długich staraniach projektanta najwyższe władze państwowe. Karpiński uważał, że ta wysokość konieczna jest dla utworzenia przestrzennej przeciwwagi dla Pałacu Kultury i Nauki, i zachowania kompozycji całości. Na walkę o to poświęcił dwa lata i był nawet gotów podać się do dymisji, gdyby starania zakończyły się niepowodzeniem.

Niestety, dzisiaj w wyniku presji doraźnych czynników rynkowych oraz błędnych decyzji miejskich urzędników i podległych im planistów, Ściana Wschodnia ulega dewastacji i nie jest już postrzegana jako całość, ale raczej jako zbiór odrębnych działek budowlanych. Szereg istniejących budynków zostało zburzonych i zastąpionych nowymi o innym przeznaczeniu i gabarytach. Renowację Rotundy oraz Pasażu Śródmiejskiego należy uznać za nieudane i odbiegające od pierwotnych projektów.

Nie udało się zapobiec wyburzeniu wybitnych realizacji polskiego modernizmu, między innymi Supersamu w Warszawie, zaprojektowanego przez Macieja i Ewę Krasińskich, Jerzego Hryniewieckiego oraz konstruktorów Waława Zalewskiego i Andrzeja Żórawskiego, ani Dworca Kolejowego w Katowicach, zaprojektowanego przez Waława Kłyszewskiego, Jerzego Mokrzyńskiego i Eugeniusza Wierzbickiego, również przy współdziałaniu Waława Zaleskiego. Powstała w 1939 roku w Warszawie przy ulicy Podskarbińskiej hala Ośrodka Wychowania Sportowego autorstwa Macieja Nowickiego i Zbigniewa Karpińskiego od lat znajduje się w ruinie. Wprawdzie udało się ją wciągnąć do rejestru zabytków, głównie ze względu na osoby projektantów, ale przewlekłe spory sądowe dotyczące jej własności uniemożliwiają przywrócenie jej do pierwotnego stanu i pozbawiają mieszkańców Warszawy potrzebnego ośrodka rekreacyjnego.

Karpiński jest najwyraźniej zauroczony architekturą Finlandii, której poświęca cały rozdział i pisze wprost: Cała nowa architektura stała mi się bliska

przez swą prostotę, skalę i wspaniałe osadzenie w środowisku i podobnym do naszego klimacie. Nie jest w tym podziwie odosobniony. Wielu polskich architektów pozostawało pod wpływem architektury Finlandii i żałować należy, że tylko niewielu z nich udało się zrealizować w kraju obiekty oddające tę fascynację.

Karpiński udziela się społecznie, zwłaszcza w Stowarzyszeniu Architektów Polskich. Jest prezesem warszawskiego oddziału SARP w latach 1963-1965, uczestniczy w krajowych i międzynarodowych konferencjach, głównie europejskich, ale także na Kubie i w Stanach Zjednoczonych. Sędziuje konkursy i odbywa podróże studialne do kilku krajów. Stowarzyszenie przyznaje mu w roku 1972 Nagrodę Honorową SARP za wybitne zasługi dla rozwoju architektury polskiej.

Ożywiona działalność zawodowa i społeczna Karpińskiego zostaje poważnie zakłócona dramatami rodzinnymi. Za udział w wydarzeniach marcowych syn Karpińskiego Jakub został zatrzymany i umieszczony w areszcie, w którym przebywał kilka miesięcy. Relegowano go też z Uniwersytetu Warszawskiego. W maju 1969 roku został ponownie aresztowany i sądzony w tzw. procesie taterników, których oskarżono o kontakty z paryską Kulturą i przemysł jej wydawnictw do kraju. Trzeba dodać, że w czasie procesu Jakub zachował godną postawę, odmawiając jakichkolwiek zeznań i obciążania współoskarżonych. Został skazany na cztery lata więzienia, z którego wyszedł na mocy „amnestii” w 1970 roku. Karpiński wspomina o tym bardzo zdawkowo, choć nie ukrywa gorczy spowodowanej represjami wobec syna, któremu, jak pisze, niczego nie udowodniono, a po pokazowym procesie skazano na długoletnie więzienie. Przeprowadzona w 1969 roku w domu architekta rewizja również zostawiła głęboki ślad na jego psychice.

Największym mankamentem wspomnień Karpińskiego jest ich skromna objętość. Autor pomija całe okresy swego życia, a pewne tematy zaledwie zarysowuje. Na przykład, wyjąwszy dramatyczny epizod z okresu powstania, prawie nie pisze o okresie okupacji.

Nie pisze też prawie nic o swojej roli nauczyciela akademickiego, a przecież był długoletnim profesorem Politechniki Warszawskiej, a w latach 1972-1974 dziekanem Wydziału Architektury. Współuczestniczył również wraz z grupą kolegów i wychowanków w tworzeniu Warszawskiej Szkoły Architektury. Prawie nie wspomina żony, którą określa tylko jako idealną towarzyszkę swego życia. Z różnych przekazów wynika, że była ona osobą nietuzinkową. Z wykształcenia inżynier ogrodnik, przez lata prowadziła samodzielnie gospodarstwo ogrodnicze, co w czasach PRL zapewne nie było łatwym zajęciem. Równie powściągliwy jest Karpiński w opisie synów, a przecież musiał mieć wpływ na ich rozwój i kształtowanie charakterów. Wychowanie, które wynieśli z domu, z pewnością przyczyniło się do odegrania przez nich istotnej roli w życiu intelektualnym kraju i ukształtowało ich w opozycji wobec systemu.

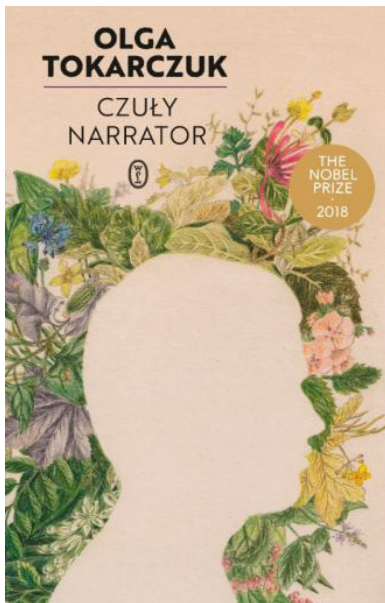
Można być wdzięcznym, że żyjący synowie Zbigniewa Karpińskiego postanowili opublikować odnalezione w archiwum rodzinnym wspomnienia ojca. Nie jest nawet jasne, czy zamierzał zrobić to ich autor. W sierpniu tego roku zmarł w Paryżu jego syn Wojciech, pisarz, krytyk literacki i eseista. Według wspomnień przyjaciół człowiek niezwykle; erudyta i mistrz konwersacji. Podobnie jak zmarły w 2003 roku Jakub, był autorem szeregu ważnych książek i opracowań. Nic dziwnego, że inny wybitny architekt Jerzy Hryniewiecki w swoim wystąpieniu na pogrzebie Zbigniewa Karpińskiego wymienił synów jako jedne z jego największych osiągnięć. Ojciec i synowie dobrze zapisali się w pamięci żywych i w historii. Jako przedstawiciele polskiej inteligencji wnieśli niezwykle cenny wkład w dorobek kulturalny kraju w okresie burzliwych przemian i zakrętów dziejowych.

Krzysztof Sasiadek

Niepokój, czyli jak opowiedzieć o mowie noblowskiej Olgi Tokarczuk?

Olga Tokarczuk, *Czuły Narrator*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 2020

Kim jest *Czuły Narrator*?



Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się właśnie *Czuły Narrator*, nowa książka Olgi Tokarczuk, pierwsza od czasu otrzymania przez nią Nagrody Nobla. Na twardej okładce widać błąd, pozbawiony szczegółów, zarys głowy młodego człowieka, a w tle kolorowy bukiet polnych ziół i kwiatów. Kwiaty przedstawione są starannie, z niemal fotograficzną dokładnością i tworzą coś na kształt aureoli wokół głowy. Czy i do jakiego

stopnia okładka książki odzwierciedla jej zawartość? Czy ma jakiś związek z tytułem, który przecież nie jest w twórczości pisarki całkiem nowy? Książka, która jest zbiorem esejów i wykładów autorki, zawiera również jej mowę noblowską, wygłoszoną prawie dokładnie rok temu w Sztokholmie, 10 grudnia 2019. Mowę, w której na samym początku pojawił się *czuły narrator*.

Warto w tym momencie przyjrzeć się wieloznaczenowości tak ważnego dla Tokarczuk przymiotnika *czuły*. Według Wielkiego Słownika Ortograficznego PWN *czuły* oznacza: odnoszący się do kogoś z tkliwą miłością i serdecznością. Ale można być również *czułym*, czyli wrażliwym na piękno lub na czyjąś krzywdę. Organizm lub narząd może być *czuły*, czyli reagujący szybko na bodźce zewnętrzne. Przymiotnika *czuły* używamy też często w znaczeniu dokładny, w odniesieniu do mechanizmów lub przyrządów. W tym ostatnim znaczeniu użyła go również autorka pisząc o matce, która „niczym *czuły* radar penetrowała nieskończone obszary kosmosu próbując dowiedzieć się, kiedy i skąd przybędę”. Wydaje się jednak, że w zamiśle pisarki idealny *czuły narrator*

to ten, do którego pasuje każde z wymienionych znaczeń. Ostatnia część noblowskiego przemówienia poświęcona jest właśnie czułości, która jest dla pisarki „sztuką uosabiania, współodczuwania, a więc nieustannego odnajdowania podobieństw”. Pisząc: „Czułość jest najskromniejszą odmianą miłości (...). Nie pojawia się w pismach ani w ewangeliach, nikt na nią nie przysięga, nikt się nie powołuje. Nie ma swoich emblematów ani symboli, nie prowadzi do zbrodni ani zazdrości. Czułość jest spontaniczna i bezinteresowna, (...) jest głębokim przejęciem się drugim bytem, jego kruchością”, Tokarczuk nawiązuje w sposób oczywisty do biblijnego Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian, znanego też jako *Hymn o miłości*.

Zgodnie z uzasadnieniem Akademii Szwedzkiej, Tokarczuk otrzymała nagrodę „za wyobraźnię narracyjną, która z encyklopedyczną pasją prezentuje przekraczanie granic jako formę życia”.

Kim, czy czym jest więc tajemniczy przewodnik pomagający nam te granice znajdować, dostrzegać i przekraczać? Czy przywołaną w uzasadnieniu wyobraźnię? Głosem sumienia? „Cudownym biblijnym opowiadaczem”, który „woła wielkim głosem: *Na początku było słowo*”? A może głosem matki, który autorka cały czas zdaje się słyszeć gdzieś w sobie, i który towarzyszył jej również, gdy pisała to najważniejsze w życiu przemówienie?

Częściową odpowiedź na zadane pytanie znaleźć można oczywiście w samym tekście. Już w pierwszej części przemówienia autorka pisze, że to matka „dała jej coś, co kiedyś nazywano duszą, a więc wyposażała w najlepszego na świecie czułego narratora”.

Tajemniczy, czuły narrator pojawia się także w przedostatniej części mowy noblowskiej, w której pisarka poszukuje możliwości nowego rodzaju opowiedzenia świata, wyjścia poza własne *ja*, poza powszechnie podzielane opinie i prawdy, poza ustalone punkty widzenia, z których widać tylko to, co rozmaici ustawiacze chcą nam pokazać. Literatura, według Tokarczuk, wciąż zachowała prawa i przywileje zabrane innym: „prawo do wszelkich dziwactw, do fantasmagorii, prowokacji, do groteski i wariactwa”, a przez to prawo do przekraczania granic i barier, kulturowych,

psychologicznych, językowych czy obyczajowych.

Przewodnikiem w tym świecie miałby być stojący z boku, patrzący gdzieś z zewnątrz obserwator, narrator „czwartoosobowy”, który „potrafi zawrzeć w sobie zarówno perspektywę każdej z postaci, jak i umiejętność wykraczania poza horyzont każdej z nich, który widzi więcej i szerzej, który jest w stanie zignorować czas”. Może jest to wspomniany wyżej, nieznan nam narrator z Biblii, który „opisuje stworzenie świata (...) i bez drżenia ręki stawia na papierze to niebywałe zdanie: *I uznał Bóg, że to było dobre*. Kim jest to, które wie, co sądził Bóg”?

Kim jest to, które widzi wszystko? Widzenie wszystkiego, według autorki możliwe, pozwala przekraczać granice i zrozumieć związki między rzeczami, ale też nakłada wielką odpowiedzialność na narratora, który jako jedyny może przewidzieć skutki powiązań i zdarzeń, które widzi. Literatura może o tym opowiadać, ale tylko pod warunkiem porzucenia krępujących ją więzów i podziałów na gatunki czy kategorie. Autor, artysta ma za zadanie kreowanie fikcji, która może być wyobrażalna. Odbiorcy, czytelnikowi, równie wolnemu jak autor, pozostaje prawo do interpretacji.

Tęsknota, czyli odwrócony porządek

Dla Tokarczuk „to, co wyobrażone, jest pierwszym stadium istnienia”. Pisarka zaczyna swoją opowieść od pięknego wspomnienia o matce. Opisując jedno z pierwszych świadomych przeżyć z dzieciństwa, przywołuje starą czarno-białą fotografię, na której widać jej smutną matkę siedzącą przy odbiorniku radiowym. Zapytana o ten smutek, matka odpowiada, „że jest smutna, bo jej córka jeszcze się nie urodziła, a ona już do niej tęskni”. Na pytanie, czy można tęsknić do kogoś, kogo jeszcze nie ma, matka odpowiada, że może być odwrotnie, „jeżeli się do kogoś tęskni, to on już jest”.

Tęsknota jest jednym z głównych, ukrytych bohaterów opowieści snutej przez pisarkę. Czasami jest to tęsknota za czymś bardzo konkretnym, czasami za czymś bliżej nieokreślonym, a często za mitem, za baśnią, tak ważnymi w całej twórczości noblistki. Autorka żałuje dawno utraconej wyobraźni dziecka, wyobraźni, która przekracza granice, bo ich nie zna, bo nic nie wie o ich

istnieniu. Tęskni za dzieciństwem i wyobrażeniami z dzieciństwa, za zdolnością dziecka do nadawania ludzkich cech przedmiotom i zwierzętom.

Przywołuje baśń Andersena o imbryku, który potrafił mówić. Tęskni za światem zaczarowanym, który każdy z nas traci w pewnym momencie swojego życia. Kiedy przekraczamy tę pierwszą granicę pomiędzy dzieciństwem i dojrzałością? Czy wtedy, gdy kolega w szkole uświadomi nam, że to ani nie Święty Mikołaj, ani nie Aniołek przynoszą prezenty pod choinkę? A może wtedy, gdy wracając po latach do domu naszego dzieciństwa, jesteśmy rozczarowani i dziwimy się, że ten dom, teraz jakiś obcy, jest taki mały? Tokarczuk tęskni za światem, który kiedyś wydawał się być dobrze opowiedzianą całością. Dziś, pomimo natłoku informacji, wiemy o nim jakby coraz mniej. Mądry, stary doktor, który dawniej potrafił znaleźć radę na każdą dolegliwość, dzisiaj stał się specjalistą, który nie widzi w pacjencie człowieka, bo leczy tylko jakąś jego część. Przedmioty, które jeszcze niedawno do nas mówiły, przestają mieć jakikolwiek związek ze sobą i z otaczającą nas rzeczywistością. Świat zostaje powoli zredukowany do kawałków plastiku, do numerów czy identyfikatorów, które zastępują człowieka.

„Świat umiera, a my nawet tego nie zauważamy”, mówi Tokarczuk i dodaje: „Dlatego tęsknię do tamtego świata od imbryka”.

Niepokój, czyli coś jest ze światem nie tak

Według pisarki, „literatura jest jedną z niewielu dziedzin, które próbują nas przytrzymać przy konkretności świata”. Ten ostatni zmienia się tak szybko, że zaczyna nam brakować języka, narracji potrzebnej do jego opisania. Tokarczuk twierdzi jednak, że tylko literatura broni nas przed spłyceniem naszego rozumowania i pozwala wnikać w życie drugiego człowieka. Tymczasem my przestajemy czytać książki, bo to wymaga skupienia i uwagi, a więc wysiłku, a film ogląda się łatwiej. Przestajemy się spotykać, wysyłać dzieci na przysłowiowe „podwórko”, bo one i tak od dawna spotykają się prawie wyłącznie „online”. Przestajemy pisać do siebie listy, bo znacznie prościej jest wymieniać SMS-y czy zdawkowe maile albo po prostu zadzwonić. Tokarczuk, choć z

jednej strony przeciwstawia wieloznaczność dobrych literackich postaci płytkości bohaterów seriali filmowych, jednocześnie zdradza też pewnego rodzaju fascynację serialem, który swoim sposobem opowiadania nawiązuje do mitów i opowieści homeryckich, i „którego ukrytym zadaniem jest wprowadzić nas w trans”. Według autorki, „wpływ [serialu filmowego] na sposoby opowiadania (i przez to też rozumienia) świata jest rewolucyjny”.

W sumie jednak, czytając mowę noblowską nie można oprzeć się wrażeniu, że pisarce cały czas towarzyszy niepokój. Jest on kolejnym po tęsknocie ukrytym bohaterem i narratorem jej opowieści i czytelnikowi nie sposób się od niego uwolnić i nie sposób nie zadać sobie pytania, czy ludzkim losem rządzi przypadek, czy też może kieruje nim jakieś niezrozumiałe fatum?

Noblistka przywołuje postać Jana Amosa Komenskigo, czeskiego pedagoga i filozofa XVII wieku, pierwszego propagatora powszechnej edukacji. Był on także twórcą pojęcia pansofii, czyli dostępnej dla wszystkich i obejmującej wszystko uniwersalnej wiedzy. Powstanie i rozwój Internetu zdawać by się mogły urzeczywistnieniem wizji i wyobrażeń Komenskigo. Oto wiedza o wszystkim stała się nagle dostępna dla wszystkich. Jednakże, jak pisze Tokarczuk, „zamiast usłyszeć harmonię świata, usłyszeliśmy kakofonię dźwięków, szum nie do zniesienia, w którym rozpaczliwie próbujemy dosłuchać się jakiejś najcichszej melodii, najsłabszego chociaż rytmu”. Powszechny dostęp do wiedzy, zamiast nas zmieniać i ulepszać, zdaje się nas przytłaczać i programować nasze zachowania. Nie panujemy nad faktami, nie potrafimy ich kojarzyć, nie staramy się szukać ukrytych porządków. Literatura, która mogłaby spełniać takie zadanie praktycznie nie istnieje. Fikcja literacka kojarzy się raczej z docierającym zewsząd kłamstwem niż z przekraczaniem barier i urzeczywistnianiem wyobrażeń. A przecież, według Arystotelesa, „fikcja jest zawsze jakimś rodzajem prawdy”.

Jak więc znaleźć język, który potrafiłby opisać coraz bardziej skomplikowany i nieustannie zmieniający się świat? Czy literatura, która „wykracza poza same fakty i wydarzenia, odwołując

się bezpośrednio do naszego ich doświadczania”, może temu podołać? Jak sprawić, żeby opis taki był jednocześnie i emocjonalny, i precyzyjny? Jak opisać „koniec epoki niezachwianej ludzkiej wiary we własną sprawczość”? Pisarka docenia zalety i dorobek pierwszoosobowej narracji w dziejach literatury, dostrzega wagę więzi i porozumienia pomiędzy autorem i czytelnikiem, jakie taka opowieść kreuje, ale jednocześnie nazywa taką narrację „niekomunikatywnym więzieniem własnego ja”, a tym samym uznaje, że ogranicza ona uniwersalizm literatury.

Nie jesteśmy już w stanie ogarnąć rzeczywistości czy przewidzieć skutków naszych działań. W rezultacie powieść - lub szerzej - literatura ustępuje miejsca innym metodom narracji, które jednak nie potrafią zapełnić powstałej luki.

„Jednym słowem, brakuje nam nowych sposobów opowiadania o świecie”.

Nadzieja, czyli podróż przez czas

Okładka najnowszej książki Olgi Tokarczuk, zaprojektowana przez znaną polską ilustratorkę, wieloletnią współpracownicę noblistki Joannę Concejo, ładząco przypomina portret pisarki autorstwa tej samej artystki. Tokarczuk, w swojej charakterystycznej fryzurze, patrzy tu przed siebie, ale wzrok przypadkowego widza koncentruje się nie na twarzy, ale właśnie na tej fryzurze, dodatkowo udekorowanej burzą kolorowych polnych kwiatów i roślin, przedstawionych z dokładnością przypominającą obrazy szesnastowiecznego mediolańskiego malarza, Giuseppe Arcimboldo.

Uwagę widza przykuwają też dwa zielone motyle, które przysiadły na chwilę na bluzce pisarki, jakby zmylone ukazaniem na niej szarym krajobrazem polskiej prowincji.

Pomimo niewątpliwego podobieństwa pomiędzy portretem pisarki i okładką jej najnowszej książki, uderzająca jest też różnica. Na okładce widzimy tylko zarys głowy z profilu, podkreślający anonimowość przedstawionej postaci. Zamiast szczegółów twarzy jest pustka, jaskrawo kontrastująca z bogactwem, wręcz przepychem otaczających ją roślin. Tak jakby przedstawiony tu człowiek pozostawał bezradny wobec otaczającego go świata, którego bogactwo i różnorodność tylko wzmagają jego uczucie samotności.

Pisarka w swojej mowie noblowskiej też pozostaje bezradna. Dostrzega z właściwą sobie wrażliwością, jak natłok codziennych informacji i niczym nieskrępowany do nich dostęp, w istocie tylko potęgują osamotnienie i poczucie coraz większej izolacji w świecie, w którym zawrotne tempo życia i przypadkowość zdarzeń zdają się wymykać spod jakiegokolwiek kontroli. Uważa jednak, że „nasze doświadczenie podróżuje poprzez czas” i trafia do tych, których jeszcze nie ma, ale „którzy kiedyś sięgną po to, co opowiedzieliśmy o nas samych i o naszym świecie”.

Czy literatura rzeczywiście będzie umiała to nasze doświadczenie opisać? Olga Tokarczuk wierzy, mimo wszystko, że tak.

Maria Koziębiedzka

WYDARZENIA

„Słoń a sprawa polska” w Bibliotece

Biblioteka Polska w Waszyngtonie to znacznie więcej niż przestrzeń wypełniona książkami. Od początku swojej działalności poza promowaniem Polskiej literatury w samym centrum stolicy USA, Biblioteka była również miejscem spotkań Polonii oraz osób zainteresowanych polską kulturą i historią. Wokół Biblioteki skupiła się społeczność

wolontariuszy, członków i przyjaciół Biblioteki, która wciąż trwa pomimo tymczasowego braku siedziby. W ramach swojej działalności Biblioteka od kilku już lat prowadzi spotkania o tematyce społeczno-ekonomicznej „Słoń a sprawa Polska.” Spotkania te zawdzięczają swą nazwę Stefanowi Żeromskiemu i Marii Curie Skłodowskiej. Anegdota o Polaku, który mając napisać rozprawę o słońcu zatytułował ją „Słoń a sprawa Polska.”

została opisana po raz pierwszy w „Przedwiośniu,” a następnie rozpowszechniona przez Marię Skłodowską Curie podczas spotkania Ligi Narodów w 1921 roku. Zarówno pisarz jak i noblistka żartobliwie odwoływali się do tendencji Polaków do doszukiwania się polskich wątków w każdym możliwym temacie i zagadnieniu. Dla Biblioteki żart ten stał się inspiracją do zorganizowania serii spotkań, których główny temat nie musi być bezpośrednio związany z Polską, ale jakoś do Polski nawiązuje.

Waszyngton, stolica USA i lokalizacja siedzib organizacji międzynarodowych takich jak Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Monetarny, okazał się idealnym miejscem do organizacji „Słoni.” Wśród zaproszonych prelegentów znaleźli się ekonomiści i dyrektorzy obydwu instytucji, między innymi Katarzyna Zajdel-Kurowska, która poprowadziła spotkanie na temat zarządzania rezerwami przez banki centralne oraz Michał Rutkowski, który przybliżył zgromadzonym zagadnienia z zakresu przyszłości rynku pracy. Goście Biblioteki mieli również przyjemność wysłuchać prezentacji Lucyny Górnickiej na temat przyszłości Wielkiej Brytanii i Unii Europejskiej po Brexit-cie oraz Marcina Piątkowskiego o sukcesach gospodarczych Polski po 1990 roku.

Niestety początek pandemii Covid-19 spowodował chwilową zmianę formuły spotkań, które do tej pory odbywały się w siedzibie zaprzyjaźnionej z Biblioteką Fundacji Kościuszkowskiej w Waszyngtonie. Spotkania obecnie odbywają się w formie wirtualnej, żeby umożliwić zarówno prelegentom jak i licznyemu gościom bezpieczne uczestnictwo. Pierwszy „Słoń” w nowej odsłonie odbył się 17 września z Magdaleną Wór, polską śpiewaczką operową, w roli głównej. Po wielu wydarzeniach ekonomicznych, spotkanie i rozmowa o muzyce i kulturze cieszyły się ogromnym zainteresowaniem.

„Słonie” stały się integralną częścią działalności Biblioteki, dzięki której może ona wciąż pełnić swoją funkcję szerzenia wiedzy o Polsce, pomimo braku siedziby. Spotkania te są bardzo lubiane przez gości, ponieważ dają nie tylko możliwość poznania bliżej wielu ciekawych tematów, ale również stworzyły forum do dyskusji oraz okazję do zawiązywania nowych znajomości. Biblioteka natomiast po raz kolejny udowodniła, że potrafi wykorzystać przeciwności losu jako możliwość dalszego rozwoju.

Pamela Połec